

Autor: Andrzej Stępniewski

Tytuł: Ojciec

Z "NF" 12/96

Byliśmy wtedy na prochach. Jak zwykle zresztą.
Zapraǳiałem mieć dziecko. Poszedłem więc z żoną do punktu usług genetycznych albo mi się tak wydawało. Po czterech uncjach kwasu mrówkowego może się wiele rzeczy wydawać. Był późny wieczór. Zarośła na poboczu drogi kryły się i maskowały. Znałem je. Próbowaly udawać kogoś innego, żebym pomylił drogę. W powietrzu unosiła się mgiełka świecąca zimnym, migotliwym blaskiem. Widziałem w niej przekrwione oczy mojej żony, w których odbijał się różowy blask neonu: "GENESIS - usługi genetyczne dla pragnących potomka - czynne całą dobę". Raz wypukłe, raz wklęsłe drzwi skrzypnęły cicho i wpuściły nas do środka. Wniosłem żonę. Przypomniało mi się, że muszę w końcu wymyślić dla niej imię. Wnętrze było całe w paski, w kącie stał człowiek w meloniku, też był w paski. Paski były wszędzie i były poprzeczne. W oknach były żaluzje.

- Przepraszam, ale pan chyba pomylił drzwi. Sex shop jest obok.

- Czy to jest punkt usług genetycznych?

- Tak.

- Zatem nie pomyliłem drzwi. Ja i moja żona chcemy mieć potomka.

- Wariat chyba - mruknął pod nosem facet w meloniku. -
Niech pan zabiera tę dmuchaną lalę i wynosi się stąd!

Bardzo nie lubię, kiedy faceci w melonikach odzywają się do mnie w ten sposób. Myślą, że jestem słaby i nie mam kasy, więc już nic nie mogę.

- Moja żona ci się nie podoba, frajerze? - wybełkotałem staniając się na nogach.

- Żona? Idź się pan leczyć!

- A żona, gnido. Twoja pewnie trzyma cię za pysk, gdera, psuje krew i to ty, frajerze, wkrótce będziesz musiał się leczyć. A moja jest z gumy i nic nie mówi.

Facet w meloniku wyraźnie się wkurzył, kiedy zacząłem demonstrować, że mogę z moją żoną zrobić, co mi się tylko podoba, a ona słówkiem nie piśnie.

- Spierdalaj, wariacie! - syknął.

Boże! Dlaczego nie dałem się wtedy wyrzucić, tylko brnąłem dalej w ten absurd?! Kiedy gość podwinął rękawy, niby przypadkiem z kieszeni wypadł mi portfel. Z początku faceta to nie wzruszyło, ale gdy zobaczył wszystkie te zielone banknoty poukładane setkami, kiedy z drugiej kieszeni wysunęła się spluwa, zmięknął mu rura.

Podszedł do biurka i z szuflady wyciągnął strzykawkę.

- A więc pan chciałby mieć potomka...

Tak oto, mój synu, powołałem cię do życia. Przepraszam.

Teraz jestem swoim synem i myślę. Nie rozumiem, jak sam siebie mogłem powołać do życia. Nie rozumiem, jak mogę pamiętać siebie jako swojego ojca, skoro jestem swoim synem. Widziałem kiedyś satyryczny obrazek: Gabinet psychiatryczny. Na kozetce siedzi Jezus. Psychiatra mówi do niego: "A więc twierdzi Pan, że stracił Pan wiarę w siebie?" Chrystus nie mógł uwierzyć w siebie, bo nie rozumiał, jak może być Bogiem, skoro Bóg jest w trzech osobach, a On jest jeden. Ja nie rozumiem, jak mogę być w dwóch osobach, więc jestem w trochę lepszej sytuacji.

To jest rozdwojenie jaźni. Schizofrenia. Chorobom psychicznym towarzyszy utrata wiary w siebie. Ale teraz coraz bardziej jestem swoim synem i coraz bardziej zapominam swojego ojca. Oddzielam się od niego. Oddzielam się dzielnie. Zapominam o jego świadomości. Już przestaję rozumieć, jak mogłem być przed sobą, przed synem. Nie mogłem być przed sobą, więc kim jest mój ojciec? Jaki ojciec? Zapomniałem o ojcu. Nie mam ojca. Jestem oddzielony.

Gość w meloniku przyglądał się bacznie procesowi pączkowania. Naćpany ojciec zwał się na podłogę, a syn, gdy skończył się wyłaniać, był bardziej zamroczony niż zwykle. Obok leżała dmuchana, gumowa lala z sex shopu. Syn

to ja. Ten w meloniku podał mi ubranie. Siadam przy oknie i czekam, aż mnie ktoś ubierze. Jestem o pięć lat młodszy od mojego ojca. Biologicznie, nie fizycznie. Mam w głowie parę postrzępionych fragmentów jego świadomości i jakieś zboczone wspomnienia. Pan w meloniku mówi, że nie wie, co ze mną zrobić, bo mój ojciec jest narkomanem, a matki nie mam. Siedzę nagi i myślę. Tylko to mogę teraz robić.

Mężczyzna w meloniku przeszedł do sąsiedniego pomieszczenia. Światło ulicznej latarni wpadając przez żaluzje zostawia prążkowane plamy na podłodze i ścianach. Pod oknem stoi okazałych rozmiarów biurko, za którym siedzi tusty grubas i z nosem w monitorze komputera bełkocze do mikrofonu. Facet w meloniku cicho zamknął drzwi i, aby zwrócić na siebie uwagę, dwukrotnie chrząknął.

- Co tam znowu, Morschwick? - znudzonym głosem zapytał grubas.

- Mamy mały problem.

- Jakież reklamacje? Niechciane dziecko? - przestraszył się grubas.

- Nie tyle niechciane, co raczej przypadkowe i to z narkomańskiej rodziny. W dodatku bez matki. Ojciec był tak naćpany, że po pączkowaniu zwałił się na podłogę i leży nieprzytomny.

- Na ile go okradłeś? - złośliwie uśmiechnął się grubas i przeszył Morschwicka wzrokiem.

- Nie rozumiem...

- Znam cię, Morschwick! Nie pączkowałbyś naćpanego frajera, gdyby nie miał znacznie więcej pieniędzy, niż to naprawdę kosztuje. Dawaj połowę kasy!

Zrezygnowany Morschwick wyciągnął z kieszeni portfel narkomana.

- Zrób szczeniakowi amnezję. Oddamy go do domu dziecka. A ojca gdzieś wywieź i zostaw w krzakach - zarządził grubas licząc pieniądze.

25 VI Dziś rano kupiłem ten zeszyt. Jest południe. Słońce przedziera się przez brudne firanki, odbija się od blatu stołu i tworzy na suficie wzór podobny do litery U. Wacek nienawidzi tej litery na suficie; jak zawsze, kiedy można ją oglądać, poszedł spać. Siedzę sam w świetlicy i piszę te słowa. Ze zdziwieniem stwierdzam, że mam własne pismo. Chociaż tyle. Jestem w tym zakładzie już trzeci tydzień. Dokładnie siedemnaście dni temu obudziłem się. Pierwsze wspomnienie to cichy odgłos mojego ciężkiego oddechu, nim jeszcze zdążyłem otworzyć oczy. Potem jasność, która przekształciła się w wolno obracający się krzyż. Z początku myślałem, że to on jest źródłem dźwięku, ale to był wentylator pod sufitem sali. Pamiętam też doktora. Dużo mówił. Ciągle zadawał pytania. Nic z tego nie rozumiałem, to ja chciałem pytać. Potem sobie poszedł. Ciągle nie wiem, kim

jestem. Następnego dnia ordynator powiedział, że to amnezja. Mówił, żeby się nie przejmować, mówił, że pamięć powoli wróci, mówił spokojnie miękkim głosem, a każde słowo wzmacniał skinieniem głowy, jakby słowa same w sobie były zbyt słabe. Słowa. Dobrze, że pamiętam chociaż słowa. Wacek opowiadał, że znał kiedyś człowieka, który zapomniał nawet znaczenia słów. Jemu nic nie mogło już przywrócić pamięci, bo nie mógł swoim wspomnieniom nadać formy, nie miał jak ich wyrazić. Był jak zwierzę. Myślał co najwyżej obrazami, wrażeniami. "W porównaniu z nim jesteś zdrów jak ryba" - mówi Wacek.

Wacek jest alkoholikiem. Trafił tu z odwykówki, bo zapomniał, jak się nazywa i gdzie mieszka. Ale najbardziej boli go fakt, że nie pamięta, co pił. Ochrzcił się Wackiem, bo to imię wydało mu się najbardziej zbliżone do czegoś, czego za cholere nie może sobie przypomnieć. A ja wciąż nie mogę sobie wymyślić choćby tymczasowego imienia. Na razie roboczo nazywają mnie Ryba, bo "jestem zdrów jak ryba" - jak to ujął Wacek.

W tym zeszycie będę pisał, co mi się przypomina. Będzie to też mój dziennik. Ale na razie nie przypominam sobie nic. Czuję wielką pustkę i coś, czego chyba nie potrafię opisać. Coś, jakby smutek.

29 VI Od ostatnich moich zapisków minęło kilka dni. Pamięć nie

wraca. Czas spędzam na grze w karty z Wackiem. Wacek mówi, że jak nie zacznę oszukiwać, to nigdy nie nauczę się grać. Twierdzi, że w poprzednim życiu musiał być szulerem. Nie wiem, czy ma na myśli poprzednie wcielenie, czy życie przed utratą pamięci. W nocy wydzwaniamy z Wackiem do różnych seks-linii. Na koszt służby zdrowia oczywiście. Trzeba bardzo uważać, żeby personel niczego nie zauważył. To, co te kobiety wyprawiają na ekranie wideofonu nie mieści się w głowie. Wacek prowadzi z nimi bardzo śmieszne dialogi.

Morschwick codziennie w czasie przerwy obiadowej wychodził z pracy. Chodził zawsze do tej samej knajpki. Prosto, przy klinice w lewo i już był "Pod Zdechłym Śledziem". Wszyscy go tam znali. Otwierał drzwi i słyszał od barmana "Cześć, Morschwick!" Klientów o tej porze było niewielu. Siadał przy barze.

- To, co zwykle? - pytał barman. Morschwick kiwał głową.

Potem rozmawiali.

- Wiesz, po czym poznać, że polityk kłamie? - mówił na przykład.

- Po tym, że porusza ustami - odpowiadał barman.

Potem zjadał hamburgera, popijał małym piwem i wracał do roboty. Znowu przechodził koło kliniki neurologicznej. W parku otaczającym klinikę na ławkach zwykle siedzieli pacjenci. Tego dnia Ryba z Wackiem wyszli posiedzieć na

słońcu.

- Wiesz, Ryba - mówił Wacek. - Nie zastanawiam się już, co piłem, ale dlaczego piłem - wiatr deformował mu i tak już potarganą czuprynę. - Myślę, że musiałem mieć przesrane dzieciństwo. - Słońce przedzierając się przez liście tworzyło plamy na jego zniszczonej twarzy. Nie było wśród nich litery U, której tak nienawidził.

- Ludzie piją z różnych powodów. Czasami bez powodu. O tym, że zostają alkoholikami, mogą przesądzić skłonności genetyczne.

- Ale ja miałem przesrane dzieciństwo - odparł Wacek. - Pamiętam więcej, niż myślisz.

- Ty pamiętasz? - zdziwił się Ryba.

- Pamiętam całkiem sporo. To właśnie dlatego, że pamiętam, tu siedzę. Pamiętam, że nie mam do czego wracać. Dlatego udaję amnezję.

- Jak mogłeś tak zrezygnować z życia? - zafrasował się Ryba. - Ja, gdybym był zdrowy, nie siedziałbym po tej stronie ogrodzenia - wskazał na płot otaczający klinikę. Za płotem przechodził Morschwick. Właśnie wracał ze "Zdechłego Śledzia".

10 VII Od ostatnich moich zapisków wydarzyło się wiele rzeczy. Przedwczoraj przyszedł rachunek telefoniczny i wydało się, że nocami ktoś wydzwaniał do seks-linii. Ordynator zgromadził

w świetlicy cały personel i wszystkich pacjentów.

- Ktokolwiek uprawia taką formę terapii, niech wie, że to już koniec zabawy - zakończył zdecydowanie.

Przyszło dwóch facetów z firmy detektywistycznej, ale nie zrobili śledztwa, tylko zainstalowali pluskwę w kabinie wideofonu. Wacka bardzo to wkurzyło. Poszedł do ordynatora i nagadał mu o prawach człowieka, o tajemnicy korespondencji i niedopuszczalnym wkraczaniu w sferę prywatności. Nic to nie dało. Cała ta historia trochę nas podłamała. Zostaliśmy w tej budzie bez jedynej rozrywki. Wacek powtarzał, że tylko udaje amnezję, bo nie chce wracać na wolność.

I wreszcie najważniejsze. Miałem przecież tu pisać, co mi się przypomina, a z tego zeszytu zrobił się wyłącznie dziennik. Otóż chyba zaczyna mi wracać pamięć. Za ogrodzeniem kliniki zobaczyłem faceta w meloniku. Mógł mieć około czterdziestki, średniego wzrostu, szczupły. Jestem pewien, że gdzieś go widziałem. Nie mam pojęcia gdzie. Jego ubiór nasunął mi jeszcze jedno skojarzenie. Prążkowane plamy. Paski. Nie wiem, co to znaczy. W każdym razie mam już dwa ślady.

Ryba odkłada długopis i zamyka zeszyt. Do świetlicy wchodzi ordynator.

- Ach, tu się schowałeś, chłopcze - mówi łagodnym głosem.
- Jesteś już u nas dość długo. - Przy każdym słowie wykonuje ruch głową. Pacjenci dobrze znali jego gestykulację. -

Zrobiliśmy ci wszystkie podstawowe badania i wygląda na to, że nie masz żadnych uszkodzeń, twoje neurony są w porządku, mózg funkcjonuje prawidłowo.

- Ale ja nadal nic nie pamiętam.

- To naturalne przy amnezji. Pamięć powróci stopniowo.

Do świetlicy wszedł Wacek zaciekawiony rozmową. Zobaczył literę U na suficie i natychmiast wyszedł.

- Nie możemy cię tu trzymać w nieskończoność. Przecież jesteś zdrowy. W związku z tym pojutrze przeniesiemy cię do domu dziecka. Nawet jeśli pamięć nie wróci zbyt szybko, będziesz miał nowe, normalne życie. - Ordynator skończył i chciał odejść. W drzwiach odwrócił się jeszcze. - Ach. Od dzisiaj nazywasz się Marcin Ryba.

Normalne życie! W domu dziecka! Też mi coś?! - myślał Ryba. - To ma być normalne życie?!

Wychodząc z świetlicy trzasnął drzwiami. Przy drzwiach stał Wacek.

- Słyszałeś?! - spytał Ryba trzęsąc się ze zdenerwowania.

Wacek kiwnął tylko głową.

- Chodź. Musimy pogadać.

Usiedli na łóżku Ryby. Oprócz nich nikogo nie było w pokoju.

- Uciekam stąd - mówił Ryba ściszonego głosem. - Nie mam zamiaru trafić do pieprzonego domu dziecka. Uciekniesz ze mną? Pomożesz mi?

- Mnie tu dobrze.

- Dobrze?! Tu jest beznadziejnie! Nawet zadzwonić nie można bez wiedzy ordynatora! - uniósł się Ryba.

- Nie znasz życia, Marcin - powiedział Wacek z takim wyrazem twarzy, żeby było widać, że on zna życie.

- Marcin?... Nawet ochrzcił mnie bez mojej zgody, skurwysyn! - mówił Marcin. - Ty też masz amnezję. Przynajmniej ordynator tak myśli. Pewnego dnia może powiedzieć, że jesteś zdrowy i też cię stąd wyrzuci.

- Nie zrobi tego - spokojnie odparł Wacek. - Jestem zbyt ciekawym przypadkiem. Mój mózg jest tak zniszczony przez alkohol, że teoretycznie powinienem nie żyć. Ordynator wozi mnie na różne sympozja naukowe, pokazuje jak małą.

Marcin był załamany.

- Bez ciebie mi się nie uda. Nie poradzę sobie na wolności. Ja naprawdę nic nie pamiętam. Musisz mi pomóc. - Wacek milczał. - Poza tym ten człowiek w meloniku. Muszę się dowiedzieć, skąd go znam. Pomóż mi, Wacek. Bez ciebie nie mam nawet po co próbować.

Wacek zamyślił się. Siedział bez ruchu i patrzył przed siebie. Wreszcie odwrócił się do Ryby.

- No, dobra - powiedział. - Pomogę ci dowiedzieć się czegoś o tym facecie, a potem tu wracam.

12 VII Jesteśmy już na wolności. Ucieczka z kliniki nie była

wcale trudna. Jedynym problemem było zdobycie cywilnych ubrań. Wacek ogłuszył i rozebrał w kiblu dwóch sanitariuszy. Chcę go namówić, żeby pozostał ze mną na wolności. Teraz śledzimy tego faceta w meloniku.

Ryba skończył pisać. Siedział z Wackiem na ławce przed punktem usług genetycznych "Genesis". Był wieczór. Słońce już zaszło, ale pomarańczowa zorza nad horyzontem dawała trochę światła. Powoli zapalały się latarnie. Nad wejściem migał kolorowy neon. Wacek trącił Rybę łokciem i zapytał po raz kolejny.

- Naprawdę ten punkt usług genetycznych nic ci nie przypomina?

- Nic.

- Może chcesz wejść do środka?

- Nie, to nie ma sensu.

- W takim razie zobaczymy, gdzie on mieszka - zdecydował

Wacek. W świetle zorzy jego zniszczona twarz przypominała zorane bruzdami pole. Długie, potargane włosy nadawały mu wygląd szamana.

Chwilę siedzieli w milczeniu.

- Oglądałem kiedyś w telewizji program o usługach genetycznych - przerwał ciszę Wacek. - Wiesz, że oni potrafią sklonować człowieka w pięć minut? Klon może być zaledwie o kilka lat młodszy od oryginału. Niefachowo nazywa się to pączkowaniem. Taki klon ma identyczny materiał

genetyczny ze swoim ojcem. Są naprawdę identyczni, w podobnych sytuacjach zachowują się tak samo. Nawet mówią tymi samymi słowami. Raz był wypadek, że pewien człowiek postanowił się sklonować, aby mieć towarzysza, potem umarł na jakąś chorobę genetyczną. Wtedy ten klon postanowił się sklonować, żeby mieć towarzysza, potem też umarł. Wówczas ten następny klon również...

Drzwi punktu usług otworzyły się. Pokazał się w nich Morschwick.

Ryba wstał z ławki.

- To on.

- Poczekaj. Śledzić trzeba umiejętnie, żeby się nie połapał.

Morschwick zszedł do metra. W ostatniej chwili wsiedli za nim do wagonu. Gdy kilka stacji dalej wysiadali, Marcina omal nie przycięły drzwi.

- Proszę uważać! - zawarczał głośnik na peronie. - Za wypadki ponoszą winę pasażerowie. Ubezpieczenia nie są wypłacane.

Zdezelowany wagon odjechał, a Ryba i Wacek szli za Morschwickiem przez jedną z biedniejszych dzielnic miasta. Obdrapane z tynku XX-wieczne kamienice, walające się wszędzie nieczytane, stare gazety, rzucone wiatrem po murach i chodnikach, sterty śmieci w bramach, do których lepiej nie wchodzić. Morschwick podszedł do drzwi klatki schodowej.

- Poczekaj tu, Ryba - zarządził Wacek.

Podbiegł do Morschwicka z papierosem, gdy ten wklepywał szyfr do domofonu i poprosił o ogień. Morschwick zapalił mu papierosa, a Wacek zerknął na wyświetlacz nad klawiaturą. Potem wrócił do Marcina stojącego w bramie sąsiedniej kamienicy.

- Nazywa się Morschwick. Mieszkanie 247. Czy to coś ci mówi?

- Nie, żadnego Morschwicka sobie nie przypominam - odrzekł Ryba zawiedziony, że pamięć nie wraca.

- Może po prostu z nim porozmawiaj. Może on cię pamięta i powie, skąd go znasz.

- Najpierw chciałbym zobaczyć jego mieszkanie, Wacek. Jeżeli tam nie znajdziemy niczego, co wróci mi pamięć, porozmawiam z nim.

- Wejdziemy tam jutro, kiedy będzie w pracy. Teraz chodźmy się gdzieś przespać. - Wacek klepnął Rybę w plecy. - Jutro na pewno coś sobie przypomnisz.

Następnego dnia, gdy tylko Morschwick wyszedł z domu, Wacek zabrał się za domofon. Ryba stał i patrzył, czy nikt nie nadchodzi.

- Kiedy ostatni raz bawiłem się takim zamkiem - mówił Wacek wykręcając śrubki - był to najnowszy system. - Zdjął obudowę i zaczął przecinać przewody. - Teraz jest to chyba eksponat muzealny.

Drzwi otworzyły się. Wacek przykręcił obudowę z powrotem i weszli do środka.

- Co za dzielnica! Nawet windy nie ma!

- 247 to chyba drugie piętro.

Drzwi od mieszkania również nie sprawiły Wackowi trudności. W mieszkaniu panował potworny bałagan. Od dawna nieprane części garderoby porzucono w najdziwniejszych miejscach, sterty niemytych naczyń zawały szafki, resztki jedzenia na podłodze nadawały pomieszczeniu specyficzny zapach, a idiotyczne ustawienie mebli utrudniało poruszanie się.

- Ten twój znajomy nie należy do najschludniejszych - stwierdził Wacek obchodząc łukiem gacie zwisające z żyrandola.

Marcin wskazał na odtwarzacz płyt analogowych.

- Spójrz, co za starość.

- Dostałby za to kupę kasy w antykach.

Marcin włączył adapter. Płyta zacięła się i było słychać powtarzający się fragment zwrotki.

- ...śród drzew wszystko to w let śród drzew wszystko to w let śród drzew...

Wyłączył. Wszedł do kuchni. Na stole leżała plastikowa torba z kanapkami.

- Wacek. Właściwie to dlaczego tak nienawidzisz tej litery U? Nigdy o tym nie mówiłeś - rzucił w stronę pokoju

grzebiąc w kredensie. Sam nie wiedział, czego szuka.

- To stara historia... - zaczął Wacek, wchodząc do kuchni i nagle zobaczył torbę z kanapkami. - Cholera! Zostawił drugie śniadanie. Może tu jeszcze wró...

Nie skończył myśli, gdy w drzwiach mieszkania stanął Morschwick. Wacek rzucił się na niego. Ciosem, jakiego nikt by się nie spodziewał po tak starym i zniszczonym człowieku, usunął gospodarza z drogi i już zbiegał w kierunku wyjścia. Morschwick zatoczył się i spadł ze schodów. Wylądował na półpiętrze. Leżał zgięty w pół, jego ciało przyjęło pozycję zbliżoną do litery U. Z nosa i ust leciała mu krew. Drzwi sąsiedniego mieszkania były uchylone, ciekawski obserwował tę scenę. Ryba zaszokowany stał w drzwiach.

Chyba nie jest to najlepszy moment, żeby porozmawiać z Morschwickiem - pomyślał. Wyszedł na klatkę. Wtedy ciekawski sąsiad rzucił się na niego.

- Mam go! Mam go, panie Morschwick! Niech ktoś zadzwoni na policję! - wrzeszczał wykręcając Marcinowi rękę.

... Nie podam daty tego zapisku, bo nie wiem, jaki mamy dziś dzień. Jest chyba listopad, może grudzień. Jakiś rok temu wypuścili mnie z domu dziecka. Zapomniałem już w ogóle o tym zeszycie i dzisiaj go znalazłem w kieszeni starego płaszcza. Teraz już nie myślę. Jestem narkomanem. Większość opuszczających dom dziecka popada w narkomanię. Taka

tradycja. Byłem spokojny, używałem kwasu mrówkowego, ale diabeł chciał, żebym znalazł dzisiaj ten zeszyt. Wszystko przeczytałem i znowu zacząłem myśleć, zastanawiać się, spekulować. Przez pierwsze dwa lata pobytu w domu dziecka zapisałem wiele teorii na swój temat. Nawet starałem się zanalizować paski, prążkowane plamy jako przybranie archetypu zbiorowej nieświadomości. Teraz to wszystko wróciło. Niepokój, niepewność. Może jak coś zarzucę, to odzyskam spokój.

Ryba wyszedł z sex shopu. Pod pachą trzymał dmuchaną, gumową lalę - swój nowy nabytek. Lekko się zataczając ruszył przed siebie. Mżawka zamarzała na powierzchni zaśmieconej ulicy. Śliski asfalt pod nogami wydawał się miękki i bezpieczny. Popsute reklamy świetlne i nieliczne latarnie dawały niewiele światła. Tam, gdzie półcień przechodził w mrok, pod wulgarnym napisem na ścianie siedział brudny, zarośnięty kloszard. Niezamierzający płyn do chłodnic nie rozgrzewał go zbytnio.

- Marcin? - słabym głosem wybełkotał kloszard do człowieka z lalką. - To ja! Wacek! Nie poznajesz mnie?

Ryba zdawał się go nie zauważać. Stał na środku ulicy i nieprzytomnym wzrokiem popatrzył przed siebie. Miał bardzo zwężone źrenice. Wolną ręką wykonał kilka niezrozumiałych gestów i ruszył dalej.

- Ryba! - wołał kloszard. - Ryba, to ja! Wacek!

Palce Wacka ścisnęły plastikową butelkę. Na etykiecie widniała duża litera U. Była to nazwa specyfiku. Pod spodem drobny napis: nigdy cię nie zawiedzie.

- Ryba! Nie pamiętasz mnie?

Wołanie pozostawało bez odpowiedzi. Zrezygnowany Wacek wypił resztkę płynu. Smakował ohydnie. Ale teraz było mu wszystko jedno.

- Nic nigdy sobie nie przypomnę - mówił Ryba do siebie idąc chwiejnym krokiem przez opustoszałe ulice. - Nigdy nic już sobie nie przypomnę. Jakiś Morschwick i prążkowane plamy... oto cała moja przeszłość, moje pochodzenie, moja rodzina. Wszystko gównno warte! I po co przez tyle lat zapisywałem to wszystko?! Przez tyle lat! Nic mi to nie dało! - Wyjął z kieszeni płaszcz stary, pomięty brulion. - Wszystko gównno warte! - Wyrzucił zeszyt do studzienki kanalizacyjnej. - Wszystko na nic! Kurewstwo! - szedł dalej płacząc i przeklinając.

Nie wiedział, że sześć metrów niżej, w kanale mieszka od trzydziestu lat kloszard imieniem Ryszard. Wyrzucony do studzienki zeszyt wpadł w jego ręce. Rysio miał więcej takich zeszytów. Dokładnie co pięć lat ktoś nieznajomy wrzucał mu następny. Wszystkie opowiadały mniej więcej tę samą historię, zmieniały się tylko imiona bohaterów. Autorem wszystkich opowieści musiał być ten sam człowiek, świadczyło

o tym identyczne pismo. Ryszard miał własną teorię dotyczącą tych zeszytów. Sądził, że w pobliżu mieszka literat pozbawiony talentu, który od trzydziestu lat usiłuje napisać opowiadanie. Niestety, co pięć lat stwierdza, że jego twórczość jest nic nie warta, więc wyrzuca zeszyt do studzienki. Tym razem nawet usłyszał głos tego biednego grafomana. "Wszystko gównem! Wszystko na nic! Kurewstwo!" - rozpaczął biedak. W świetle znicza znajdującego na cmentarzu Ryszard zabrał się za czytanie kolejnego zeszytu. Nie wiedział, że już wkrótce ów biedny grafoman napisze nowe zakończenie swego nieudanego opowiadania. Ale ten zeszyt nigdy nie wpadnie w jego ręce.

Ryba siedział na dwórcu. Gumowa lalka leżała pod ławką. W poczekalni były stoliki. Po tym, co ostatnio zaszło w jego życiu, postanowił, że znowu będzie pisać dziennik. Wyjął nowy zeszyt z kieszeni płaszcza i położył go na blacie. Poszperał jeszcze po kieszeniach w poszukiwaniu długopisu. Przez pomyłkę wyciągnął strzykawkę, co zaszokowało starszą panią siedzącą opodal. Po chwili jednak znalazł długopis. Pochylił się nad czystą kartką i jakiś czas beczynnie się w nią wpatrywał. Wreszcie zaczął pisać.

2 VI To był dzień dziecka. Byliśmy wtedy na prochach. Tak jak zwykle zresztą. Żona trochę przesadziła i kilka razy

rzygała. A ja zapragnąłem mieć dziecko. Poszliśmy więc do punktu usług genetycznych albo mi się tylko tak wydawało. Po czterech uncjach kwasu mrówkowego może się wiele rzeczy wydawać. Zarośla na poboczu drogi próbowały wyglądać inaczej, żebym pomylił drogę nie znajdując znajomych miejsc. W powietrzu unosiła się świecąca zimnym, migotliwym blaskiem mgiełka, w niej widziałem przekrwione oczy mojej żony, w których odbijał się różowy blask neonu "GENESIS - usługi genetyczne dla pragnących potomka - czynne całą dobę". Raz wypukłe, raz wklęsłe drzwi skrzypnęły cicho i wpuściły nas do środka. Wniosłem żonę. Przypomniało mi się, że muszę w końcu wymyślić dla niej imię.

Andrzej Stępniewski

ANDRZEJ STĘPNIEWSKI

Urodził się w 1973 roku w Warszawie. Absolwent policealnego studium informatycznego, student nauk społecznych na UW. Zaczynał na łamach niskonakładowego zinu "Brucha Marucha" AD 1995, publikował też prozę w "Sycynie". "Ojciec" jest stricte fantastycznym debiutem Andrzeja; w szufladach "NF" czeka na druk jego jeszcze lepsze, bardziej paranoiczne opowiadanie pt. "Strefa Kaszlu".

(mp)